

## Spotkanie w puszczy

W jesienny poranek roku 990 szlakiem krakowsko-opolskim cwałowała drużyna wojów. Różni i krzepcy drużynnicy ubrani byli w jednolite helmy i kolczugi, a uzbrojeni w długie włócznie i obosieczne miecze. W jednym ręku trzymali, a nie okragłe turczy, a poniekądemu zwiślał na plecach krótki, jesionowy luk i kołcz napełniony strzałami.

Na czele drużyny jechał 24-letni Bolesław, syn możnego księcia Polan. Mieszka, Bolesław od kilku lat władał grodem krakowskim, a teraz spieszył do grodu gnieźnieńskiego, na spotkanie z ojcem, który według wieści wrócił co dopiero ze zjazdu cesarskich lenników.

Powody, które młodego księcia gnęły do grodu ojca, nie wiele miały wspólnego z synowską miłością. Chciał bowiem stanowczo zażądać od starca księcia wygnania z kraju swej zleniawionej macochy Ody. Ta żądna władzy Niemka nie szczędziła bowiem sił, ni środków, by przygotować dla swych synów drogę do objęcia mieszkowego dziedzictwa, a największą przeszkodą był właśnie syn Dobrawki.

Dopiero tydzień temu, podczas chrztu Bolkowego syna, Mieszka, macocha próbowała rękami swoich popieczników otrąć swego pasierbca. Wprawdzie ofiarą tego zamachu padł zmiast księcia ulubiony krewniak Bolkowej żony Emund, ale książę tym razem postanowił, jeśli nie prośbą, to siłą wymóc od ojca swego ostateczne rozwiązanie tego węzła komplikującego coraz bardziej przyszłość mieszkowego dziedzictwa.

— Nie staniam przed wieczorem w Opolu — stwierdził Bolko, kiedy szlak poczynił skręcać na wschód — zdołoby się przeciąć tę puszcze, miast ją objechać.

— Wiedzie tu wąska ścieżyna, którą chadzają węglarze do Olkusza i Krakowa — odparł Jaxa, jeden z Bolkowych druhów. Zauszczając się na nic w tę puszcze, wyjedziemy w miejscu, gdzie na opolski szlak wpada drugi prowadzący z grodu raciborskiego.

Bolko bez dalszego słowa skierował swego rumaka w ciemny gąszcz. Las był wysokopielny i

roznorodnym podszyciu. U stóp wiekowych dębów ścieliły się krzy jałowca i niskiego orzecha leskowego, pod smukłymi ocharmi rozprzestrzeniały się miękkie dywany puszystych mchów, a jeszcze gdzieś indziej czarna jagoda i czerwona malina, albo też bujna, wysoka paproć dawały doskonale schronienie licznej, irćbnej zwierzynie.

— Piękna to puszcza i zwierza być musi tu sporo — orzekł książę. — W takim schronieniu i tutaj, i ledwie gdzieś przebywać lubi.

— Zdałoby się i tak tuż Jaxa Jaxkwa — rzucił drugi towarzysz jadący po jego lewicy. Był to młodym dorodny, ubrany w odmienną od reszty, zbroję niemieckich grafiów. Zyskał ją w darze od Bolka, kiedy przy niedawnym najeździe Czechów na Śląsk przyprowadził mu zakutego w niej Gertruda — satnika arcybiskupa magunckiego.

Słońce stało już wysoko nad koronami drzew, kiedy dobiegli ich odgłos cwałujących kopyt i łamanych gałęzi.

— Stój! — rozkazał Bolko — ktoś najeżdża!

— Nie końskie, a jelenie. Kopyta ku nam cwałują — orzekł po chwili doświadczony w łowach Jaxa.

I ledwo dokończył, wypadł na śnieżynę obrzynał byk, który, widząc przed sobą jeźdźców, zerwał kopytami w ziemię. Ta jedna chwila wystarczyła by zawisnąć w powietrzu oszczep, a jego grot utkwiał głęboko we włochatym karku zwierza.

Nim jeszcze Bolko i jego towarzysze zdolał ochłonać z wrażenia, w ślad za bykiem wypadło z gęstwiny dwóch pieszych. Starszy ubrany w skórzaną opończę trzymał w ręku ciężki topór i potężnym zamachem załopił jego ostrze w zgłębionym karku jelenia. Młodszy, uzbrojony w krótką dźwigę pierwszy zauważył łniące kolczugi jeźdźców i zastygł w bezruchu.

— Sprawnieś to zrobił, brodaczu — krzyknął książę zeskakując z siedła.

Brzecz nieufnie spojrział na zbliżającego się, a potem pewnym ruchem wyrwał topór z krwawiącej rany zwierza i moc-

niej objawiając jego rekojęść, stał w pozycji obronnej. Widząc to młodszy, jednym zwinnym skokiem znalazł się u boku ojca, a jego bystry wzrok zdawał się ważyć szanse ewentualnego starcia. Ale i Bolkowi ludzie byli w pogotowiu. Stojgniew pierwszy porwał za miecz i wysunął się przed księcia.

— Ostaw — rozkazał książę — są w prawie. W tych stronach luba czujnym być musi.

— Na kniazia mi się widzicie — ozwał się teraz brodaczu i opuścił topór — a że nasza mowa zacie, to i wrogiem być nie możemy.

— Prawie rzeczesz — odparł książę, a zbliżywszy się do obu zapytał:

— A wy czyj?

— Niczyj — odparł dumnie brodaczu. — Wolni my ludzie, a zwierza nasz bo w naszej dzicyz wrosł, a drzewo w tej puszczy też nasze i węgle z niego palimy.

— Sporo was tutaj? — pytał książę.

— Garstka jeno kniazia, ale nie lza nas zaczepiać, lub nieważić nikomu. Chały nasze — ot tam, za wzgórzem stoja.

— Widzi mi się, iż syna księcia Polan ugościć wam trza. Ja i moi towarzysze zrożeńi wielce.

— Syn Mieszka? — wtrącił cieniutkim głosem młodszy — też to Bolko, ojciec o którym Przeciera dzieje całe opowiada.

— Zgadłeś nielziku — rzekł Bolko z uśmiechem — aleć, jak widzę nie młodziak jeno białka w opończy tej siedzi?

— To córka moja, Sławka, kniazia — wtrącił brodaczu. — Uhoga nasza hata, ale jadła i pościeli w niej nie brakuje. „Zwierzowem“ zakole nasze kupcy zwa, bo tu zwierza co niemiara. Jedź za mną, węglarze radzi ci będą.

To rzekłszy, brodaczu odwrócił się i rażno kroczyl w stronę widniejącego wzgórza. Stojgniew rozkazał dwóm wojom zarzucić ubiortą zwierzynę na konia i w ślad za Bolkiem książęcą drużyna ruszyła w stronę osiedla węglarzy, które — jak rzekł brodaczu — kupcy nazywali „Zwierzowem“.

(S. S.)